

Porywająca opowieść o niezwykłej przyjaźni, walce ze
słabościami i spełnianiu marzeń



ALEKSANDER SOWA

O CZŁOWIEKU, KTÓRY PATRZYŁ

W NIEBO



O człowieku, który patrzył w niebo

Aleksander Sowa

©Copyright by Aleksander Sowa 2018

Okładka: Aleksander Sowa

Zdjęcia: Aleksander Sowa

Skład: Aleksander Sowa

Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz

– eKorekta24.pl

ISBN: 978-83-945444-5-4

--

Aleksander Sowa|Self-Publishing

www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Opole, marzec 2018 r.

I.

Tamtego dnia wszyscy uświadomili sobie, że nie znali Leona Windisza, który latał nad Tatrami drewnianym szybowcem. Od czasu, kiedy owładnęło nim pewne wielkie pragnienie, wzbudzał wśród innych pilotów śmiech, politowanie i kpinę.

– Jest z nim coś nie w porządku – oświadczył ojciec chłopca. – Nie lataj z nim.

– Dlaczego?

– Nie chcę, żebyś z nim latał.

– Mówiłeś, że to dobry pilot.

– Na starość coś mu się w głowie poplątało – odparł ojciec, kończąc dyskusję.

Chłopiec latał z różnymi pilotami, lecz loty z żadnym nie były takie jak te ze starym Windiszem. Mały ani razu nie wymiotował, nawet przy akrobacjach, a z innymi nieraz czuł mdłości. Nikt też tak miękko jak Leon nie potrafił posadzić Bociana.

Pewnego razu, w czasach, kiedy mogli latać razem, chłopiec usnął w locie. Stary krążył pod podstawami chmur, wlatywał w nie i latał pomiędzy nimi, niczym w dolinach gigantycznych wzgórz. Wzniesli się niemal trzy kilometry nad lotnisko i Stary nie chciał rezygnować z takich warunków. Człowiek ten ponad wszystko kochał latanie. Rozrzedzone powietrze i kołysanie szybowca znużyły chłopca, aż usnął. Stary pilot,

widząc w owiewce odbicie jego śpiącej twarzy i opadającą głowę, pilotował najdelikatniej, jak umiał. I mimo intensywnie pracującej tego dnia termiki nie obudził go przyziemieniem. Mały otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy szybowiec zatrzymał się i opuścił skrzydło.

– Chciałbym wykręcić się wyżej niż ktokolwiek inny – zwierzył się Stary.

– Chcesz pobić rekord?

– Tak – odparł Leon, a w jego oczach coś zabłysło. – Chcę i zrobię to. Zobacysz.

– To jak wysoko musisz wzlecieć?

Stary zastanowił się chwilę. Zapalił śmierdzącego papierosa, zaciągnął się i jak zwykle zakaszłał. Chłopiec nie lubił, kiedy jego siwy przyjaciel palił, ale go kochał, więc milczał.

– Najlepiej byłoby – odparł Windisz – na ponad dziesięć kilometrów.

– Nad lotniskiem?

– Myślałem raczej o wysokości od wyczerpienia – uściślił pilot. – Nad lotniskiem to jedenaście.

– To byłby rekord Polski?

– Tak. – Szybownik pokiwał głową. – I świata – dodał, patrząc badawczo błękitnymi oczyma. – Ale chcę tego dokonać. I dokonam – mruknął, zaciskając usta.

Wszystko w Windiszu było stare. Był chudy, żylasty, a twarz miał pomarszczoną i poprzecinaną bruzdami. Skóra na jego twarzy i rękach była ciemna, opalona, pełna plam od przebywania na

słońcu; kontrastowała z gęstą czupryną, w której każdy włos był tego samego, niemal białego koloru. Windisz przypominał jedno z tych powyginanych drzew rosnących przed bramą na lotnisko. Suchy, poskręcany, lecz twardy i sprężysty jak wiąz. I mimo że był już starym człowiekiem, prawą rękę miał nadal silną, niczym imadło w kuźni.

– To od latania – powiedział kiedyś. – Od młodości tą ręką ściskałem drążek. A latałem nie tylko szybowcami.

I w tej chwili jego oczy, oczy w kolorze nieba, zdały się jaśniejsze. Chłopiec widział je takie same, kiedy wsiadali do szybowca i zaraz po locie, a także wtedy, kiedy Stary zdradził marzenie, by pobić rekord. Dobrze znał to spojrzenie. Potem widział, jak blask w oczach Leona gasł, a oczy wracały do zwykłego, niebieskiego koloru, choć zawsze pozostawały niezłomne, wesołe i bystre.

– Zrobię to – mruknął. – Zobaczysz. Wzniosę się tak wysoko jak nikt.

– Będę trzymał kciuki.

Zakaz wydany przez ojca smucił chłopca. Smuciło go również to, że inni piloci patrzą na siwego lotnika z wyższością. Smuciło go, że w hangarze, na starcie i w pomieszczeniach aeroklubu się z niego wyśmiewają.

Chłopiec – tak często, jak mógł – pomagał Staremu hangarować szybowiec po locie, myć go, a potem zakładać połatane pokrowce na skrzydła.

Stary pozwalał chłopcu wyjmować z szybowca akumulator, później zaś przykrywaćabinę specjalnie rozciągniętym jutowym workiem. Pilot niezmiennie związał sobie tylko znanym sposobem ten kawałek szmaty niczym sztandar. Wszyscy jednak wiedzieli, że to sztandar kłęski.

– Dziś znów mi się nie udało – rzekł, gdy zobaczył chłopca kilka dni później.

– Nie martw się, pobijesz go.

– Nie o to chodzi – mruknął lotnik. – Nawet się nie załapałem. Wylądowałem po piętnastu minutach.

Chłopiec zamilkł, wpatrzony w przyjaciela. Ten siedział na ławce – zgarbiony, przyglądający się zaczerwienionemu od zachodzącego słońca niebu. Siedział sam, tyłem do pozostałych, na uboczu, niebacznym na to, że inni pokpiwali z niego.

– Daj mu spokój – odezwał się ktoś. – Dziś znów atakował rekord.

Chłopiec zdenerwował się, lecz był za słaby i jeszcze za młody, aby mieć cokolwiek do powiedzenia.

– Niech mówią – szepnął Stary. – Nie gniewaj się na nich.

– Co, znów ci się nie udało? – drwił ktoś inny, szczęśliwy, że przychylny los pozwolił mu się cieszyć czasem spędzonym w kabinie szybowca.

Nie wszyscy dokuczali Staremu. Dawni koledzy Windisza milczeli, kryjąc smutek za maską uśmiechu. Rozprawiali uprzejmie o lotach, wie-

trze oraz niesprzyjającej i trudnej pogodzie, lecz w głębi lotniczych serc nie mieli odwagi spojrzeć w błękitne oczy Starego. Brakowało im siły, wiedzieli, że również w ich życiu przyjdzie taki dzień jak ten, który właśnie przeżywa Stary. I że nie będą umieli pogodzić się z tym, że ich czas w powietrzu dobiegł końca. Starość nadchodzi, zabierając prawo do trzymania steru. A wielu nie umie się z tym pogodzić. Podobnie jak on.

– Odprowadzę cię – rzekł chłopiec, gdy Stary wstał z ławki i przerzucił worek z ubraniami przez ramię.

– Nie. Pójdę sam.

I poszedł. Chłopiec, wpatrzony w przygarbioną sylwetkę przyjaciela wolno krocącego chwiejnym krokiem na tle lasu, postanowił, że nazajutrz powie Staremu to, co powinno być powiedziane.

– Chciałbym móc z tobą latać – usłyszał Windisz rankiem, wypychając szybowiec przed hangar, gdzie czekała już lina od samolotu.

– Wiem.

– Mógłbym się nie przyznawać ojcu. Byłoby ci różniej w locie.

– Nie. Tak nie wolno. Skoro ojciec ci zabronił, musisz to uszanować.

Wtedy chłopiec zamilkł i spuścił wzrok. Wiedział, że Leon nie zgodzi się wziąć go do szybowca, dopóki ojciec nie cofnie zakazu, lecz mimo to zdobył się na wypowiedzenie tych beznadziejnych słów. Ponieważ czasem należy po-

wiedzieć to, co powinno być powiedziane, niezależnie od konsekwencji.

– Pamiętasz tamten dzień w maju – rzekł chłopiec i się uśmiechnął – kiedy udało nam się zaczepić na termice już w pierwszym starcie, a oni wszyscy – ruchem głowy wskazał na pilotów – próbowali po trzy razy i nikomu się nie udało?

– Pamiętam – odparł Stary, wiedząc, że chłopak mówi to, ponieważ chce zapomnieć o zakazie.

– Wiesz, że w ciebie nie zwątpiłem, prawda?

– Tak.

– To powiedz: jak zamierzasz tego dokonać?

Chłopiec kochał Starego. Nie kochał go jak dziadka, lecz jak starszego – dużo starszego – przyjaciela. Stary nauczył chłopca latać, choć to była ich tajemnica. Najpierw wysoko nad ziemią pokazał chłopcu, jak utrzymywać prędkość i prosty tor lotu. Potem, gdy mały pojał, jak skręcać, przyspieszać i zwalniać, pozwolił mu lądować. Na koniec nauczył małego startów. I nikt na lotnisku nie miał pojęcia, że pewnego dnia to chłopiec, a nie Stary pilotował szybowiec.

– Jeszcze na to za wcześnie – wyjaśnił szybowownik. – Muszę poczekać.

– Jak to?

– Kiedy nadejdzie fala, pobiję ten rekord – odparł, wdychając uchwytnie tylko dla siebie zapachy, które niósł wiatr od Tatr. – Zobaczysz, już niedługo.

Chłopiec spojrział na pomarszczoną twarz. Potem usiadł na trawie obok szybowca. Było przyjemnie i słonecznie. W powietrzu czuło się zimą, ale promienie słońca pozwalały odsunąć tę myśl.

– Leon?

– No? – odezwał się tamten, wpatrzony w góry.

– Jutro coś ci przyniosę.

– Nie musisz.

– Chcę to przynieść.

– No dobrze, co to? – zapytał pilot, wędrując myślami daleko, na inne lotnisko, do czasów, kiedy jego twarz nie miała zmarszczek, a siła nie uciekała z każdym rokiem.

– Wariometr. Elektroniczny. Nowoczesny – odparł chłopiec z dumą. – Dostałem od ojca na dwunaste urodziny. Powiedział, że kiedy urosnę, przyda mi się do latania. Tyle że teraz będę musiał poczekać, nim zacznę latać, więc pomyślałem, że tobie bardziej się przyda.

– Lepiej nie.

– Dlaczego?

– Dobry z ciebie dzieciak, ale nie potrzebuję go. Gdyby oni – Stary wskazał szydercze twarze w porcie – zobaczyli, że przyczepiam sobie coś takiego do uda, dopiero mieliby rozrywkę.

– Wiem – odparł mały. – Ale bardzo bym chciał ci pomóc. Skoro nie mogę z tobą latać, chciałbym się na coś przydać. Rozumiesz?

– Pomagasz mi przy szybowcu. To wystarczy.

– Chciałbym być taki jak ty.

– To znaczy jaki?

– Być dobrym pilotem.

– Jesteś dobrym pilotem. Wiem, bo z tobą latałem. Zrobiłeś już niejedną krąg. Jesteś mężczyzną.

– Tak, ale byłeś ze mną.

– A co to zmienia?

– To nie to samo co lot samodzielny.

– Już zawsze będę z tobą. Nawet tego dnia, kiedy polecisz w pojedynkę, też będziemy razem. I nawet kiedy umrę, będziesz czuł moją obecność. Tak już zostanie.

– Dlaczego?

– Ten, który daje pierwsze skrzydła, już nigdy nie wysiada z kabiny. – Stary spojrzał w młode oczy chłopaka, który uważnie słuchał. – Pierwszy instruktor zostaje tutaj – Windisz wskazał krzywym paluchem skroń – i tutaj. – Położył otwartą dłoń na piersi.

– Ile miałeś lat, kiedy zacząłeś?

– Czternaście.

– A kiedy pierwszy raz poleciałeś?

– Rok później. O mało się nie zabiłem.

– Opowiedz.

– To były inne czasy. Zupełnie. Inne szybowce. – Windisz się zadumał. – Trochę płótna, kilka deseczek, kilka linek. I to wszystko. Cieszyliśmy się z dwuminutowego lotu. Wystartowałem

z lin, poleciałem w dół, wykonałem zakręt, a potem mnie podniosło. – Lotnik uśmiechnął się do wspomnień.

– Co było potem?

– Zrobiłem drugi zakręt. Wtedy na tamtym lotnisku nie latało się jak teraz. Zlatywało się w dół zbocza, robiło zakręt o sto osiemdziesiąt stopni i lądowało z prostej na pasie niżej. Potem końmi taszczyliśmy patyk na górne lotnisko.

– Górne? – zapytał chłopiec, marszcząc czoło.

– Na górze było startowisko. Pod nim, na dole, lądowisko – wyjaśnił szybownik, pokazując dłońmi, ułożonymi jedna nad drugiej, pasy tamtego lotniska, o różnych elewacjach. – Już rozumiesz?

– I co się stało?

– Wystartowałem. Miałem zlecieć, wykonać zakręt i wylądować na dolnym pasie, ale wylądowałem na górze.

– Dlaczego?

– Tyrpnęło – Stary wzruszył ramionami – i złapałem komin. – Uśmiechnął się.

– Aha.

– Na górnym pasie był stary piec. Wcześniej wypalano w nim wapień. Zatrzymałem się pół metra od niego.

– Aż tak blisko?

– Miał wyrzeźbionego Ikara z rozpostartymi skrzydłami. Pamiętam, jak rósł mi w oczach. Nic

nie robiłem, oczarowany samodzielnym, a do tego tak długim lotem.

– Nic ci się nie stało?

– Nic.

– A patyk?

– Przyziemiłem za szybko – odparł Stary, drapiąc się za uchem. – I połamałem płożę.

Chłopiec zobaczył siebie w starym szybowcu, lecącego nad tajemniczym lotniskiem, gdzieś na samotnej górze, przed wojną, daleko od Nowego Targu, kiedy Stary był jeszcze chłopcem. Ten zaś popatrzył na chłopca oczyma wyblakłymi od słońca i życia, lecz ufnyymi i kochającymi, i zapytał:

– Nie opowiadałem ci tego już kiedyś?

– Opowiadałeś, ale uwielbiam tę historię.

Zamilkli na chwilę. Chmury przesuwały się wolno, obaj wiedzieli, że pcha je wiatr, dużo mocniejszy tam w górze. Ten wiatr śnił się Staremu ostatniej nocy. Pilot śnił, że przybiera na sile wystarczająco, aby wznieść go w szybowcu ze sklejki na wysokość, której nikt jeszcze nie zdołał pokonać.

II.

Następnego dnia chłopiec nie mógł pójść na lotnisko. Pomagał ojcu w porządkach wokół domu, a potem w ogrodzie. Zajęty paleniem liści, obserwowował zza dymu, snującego się przy ziemi

niczym gigantyczny wąż, jak pomarańczowy szybowiec, holowany przez warkotliwy samolot, wznosi się nad las. Potem zwiesił wzrok na zielonkawej sylwetce wytracającej wysokość ze zdławionym silnikiem. Nim minęło pół godziny, zobaczył schodzący do lądowania szybowiec Staroego. Ogarnął go smutek. „Więc znów się nie udało” – myślał. Jego ojcu zaś zdawało się, że dostrzegł smutek w spojrzeniu syna, lecz w następnej chwili już niczego takiego w oczach chłopca nie widział.

– Jutro powinien być dobry dzień – powiedział kilka dni później w hangarze Windisz. – Halny się zbliża.

– Polecisz?

– Polecę.

– Spróbuję namówić tatę, żeby pozwolił mi lecieć.

– Nie możesz. – Stary pokręcił głową. – Przyjdź. Jeśli chcesz, pomożesz mi przy szybowcu. Przydasz się, ale i tak nie mógłbym cię zabrać ze sobą.

– Dlaczego?

– Nie pozwalają mi już latać Bocianem – odparł cicho. – Mam tylko Muchę – mruknął, czułym gestem gładząc skrzydło w kolorze pomarańczy.

Młodzieńcze serce przeszły sztylet. Chłopiec objął wzrokiem szybowiec i spojrzał na przyjaciela. Ten zaś nie odpowiedział na spojrzenie, nie uniósł wzroku, dalej przygotowując się do lotu.

– Nie miej im tego za złe. Ja nie mam.

Znali szybowce w hangarze. Wiedzieli, że Bocian jest dwumiejscowy. To Bocianem latali. Stary lubił zabierać chłopca, bo z dodatkowym ciężarem w przedniej kabynie szybowcem łatwiej się sterowało, a i korkociągi lepiej się kręciło. Chłopiec wiedział, że Bocian jest cenny dla aeroklubu, bo szkoliło się na nim pilotów. Muchą mogą latać już wyszkoleni, tych zaś jest mniej. Leonowi odebrano Bociana w obawie, aby go nie uszkodził.

– Dokąd zamierzasz polecieć?

– Nad Zakopane, a potem dalej – szepnął pilot, przyglądając się lotkom – zobaczymy, co znajdzie. Czuję, że gdzieś tam, na wschód od miasta, będzie rotor. Obserwuję te góry, odkąd tutaj zamieszkałem, a to już ładnych parę lat. Mam przeczucie, że wkrótce tam – wskazał góry wzrokiem – znajdzie największy rotor, jaki kiedykolwiek tu powstał. Zobacysz. Jeśli jego wierzchołek będzie miał dwa trzysta wysokości, zaatakuję. Wiem, że fala nad Tatrami sięga aż do stratosfery.

– Stratosfery? – Oczy chłopca załśniły. – To naprawdę możliwe?

– Zobaczymy. Spróbuję to udowodnić.

– Hej, Stary! Widzisz niebo? – wrzasnął ktoś od portu.

Odwrócili głowy.

– Nad Tatrami wiszą soczewki! – krzyknął jeden pilot z dłońmi przyłożonymi do policzków.

– Dlaczego dzisiaj nie atakujesz rekordu? Brakuje ci paliwa w Bocianie?

I pod werandą rozbrzmiał gromki śmiech z kilku gardeł. Stary bez słowa spojrział na chłopca. Nawet się nie rozzłościł.

– Dranie – powiedział chłopiec, zaciskając pięści.

– Daj spokój, nie warto się denerwować – odparł lotnik, wracając do przeglądu szybowca.

W tej samej chwili do hangaru wpadł ptak. Stary z dobrodusznym uśmiechem śledził jego lot. Czarne piórka połyskiwały w wąskich promieniach zachodzącego słońca, a ptak zwinnie przemykał między potężnymi belkami. Jego skrzydła i drobiny kurzu, które wirowały w nieruchomym powietrzu, błyszczały w słońcu.

– My – powiedział Leon, odprowadzając ptaka wzrokiem – nigdy nie będziemy tak latać.

– Oni nie, ale ty latasz prawie jak on.

– Dobry z ciebie chłopak.

– Nie słuchaj ich.

– Sądzisz, że się mylą?

– Nie ustanowią nigdy żadnego rekordu.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie potrafia latać jak ty. Nie potrafia latać nad Tatrami. Widzialem nie raz, boja się szczytów. Lataja tylko tam, gdzie maja szanse bezpiecznie posadzić patyk. Krąza wokół lotniska jak gawrony nad wysypiskiem w obawie, że nie wrócą na ziemię.

– Przesadne ryzyko nie jest dobre.

– Ale bez niego nie da się niczego osiągnąć, sam tak mówiłeś.

– Bo to prawda.

– Więc mam rację. Posłuchaj – powiedział chłopiec – przecież gdybyś nie zaryzykował, nigdy nie nauczyłbym się latać, prawda?

– Tak. – Stary pokiwał głową, po czym rzekł: – To dziwne.

– Co?

– Jesteś jeszcze młody, ale Bóg, jak widzę, nie pożałował ci oleju w głowie. To dobrze. Cieszę się, że mogliśmy razem latać.

– Ja też.

– Wiesz, chłopcze, mam wątpliwości, czy wystarczy mi sił.

– Wystarczy. Na pewno – stwierdził chłopiec. – Nie przejmuj się nimi. Pamiętasz, jak pokazywałeś mi kołujące orły?

– Tak.

– Albo jak wiatr nosi źdźbła nad turniami?

– Tak.

– Albo świstaki i kozice?

– Pamiętam.

– Oni nigdy o tym nie opowiadają.

– Mają aż tak kiepskie oczy?

– Nie chodzi o oczy – odparł chłopiec. – Ale o to, czego brak im w sercu.

– Co chcesz powiedzieć?

– Oni bardziej kochają siebie niż latanie. Ty kochasz je naprawdę.

– Dziwne – rzekł Stary.

– Dlaczego?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – powiedział, kończąc przegląd Muchy. – Ale kto wie, czy nie masz racji.

Zamknąłabinę i starannie przykrył szybowiec. Chłopiec pomógł założyć rękawy na skrzydła oraz koc na owiewkę kabiny z pleksi. Uśmiechał się do Leona, choć w jego sercu tkwiła tępa drzazga. Bał się o Starego. Smutkiem napełniało go to, jak traktowali go inni piloci, jednak wierzył, że jego przyjaciel dokona tego, o czym marzył.

– Latałeś tylko tutaj? – zapytał Leona w drodze do domu.

– Latałem w różnych miejscach.

– Opowiesz mi o nich kiedyś?

– Tak, ale nie dzisiaj. Jestem już zmęczony.

Następnego dnia chłopiec zjawił się, tak jak obiecał. Leon wziął z magazynu spadochron, a mały wpisał go do książki, pozostawiając puste miejsce w krateczce na podpis pilota. Stary sprawdził zapis z numerem rejestracyjnym na pokrowcu i złożył zamaszystą parafkę.

– Sprawdziłeś plombę?

– Tak – odpowiedział chłopiec. – Jest ważna.

– Załóż gumki – polecił Stary chłopcu, a ten zaczepił haczyk na wyłogach pokrowca o przeznaczone do tego zaczepy.

– Po co się to robi?

– W razie potrzeby to przyśpieszy otwarcie.

– A po co się je odczepia po lotach? – zapytał mały o gumki.

– W magazynie nie muszą być zaczepione – rzeczowo wyjaśnił sprawę szybownik. – Mają zadziałać w razie potrzeby. One są jak mięśnie człowieka. Nie mogą być stale napięte, bo tracą siłę, lecz kiedy wypoczną, będą potrafiły zrobić to, czego się od nich wymaga.

– Skakałeś kiedyś?

– Skakałem.

– Z szybowca? – Chłopiec rozszerzył oczy w oczekiwaniu na jeszcze jedną pełną przygodę historię spośród tych, którymi czasem raczył go jego starszy przyjaciel.

– Z samolotu.

– Po co?

– W życiu niektórych pilotów przychodzi chwila, kiedy trzeba to zrobić. Żeby zdobyć licencję na patyki, trzeba oddać skok z samolotu. Po to, żeby oswoić się z działaniem spadochronu. Bo wiesz, mały – Windisz na chwilę zamilkł – trzeba być na to przygotowanym. Szczególnie wtedy, kiedy wybór jest prosty. Skok lub śmierć.

– Chyba zrobiłbym w portki.

– Ja prawie zrobiłem – odpowiedział lotnik, wypisując pokładowy dziennik techniczny. – Ale nie było wyboru. Nie ma co o tym ciągle myśleć. Rozumiesz?

– Uhm.

– Musimy wziąć akumulator.

Gdy go wzięli, ruszyli z portu i przeszli przez wyasfaltowany plac do hangaru. Stary niósł na ramieniu pocerowany worek z żaglowego płótna z ubraniami na lot. Na drugim ramieniu zawiesił spadochron. Chłopiec, drepcząc przy nim, dźwigał niewielki akumulator do zasilania radiostacji i oświetlania szybowca.

– Mogliśmy przygotować Muchę do tego lotu wczoraj.

– Niedobrze jest zostawiać akumulator na noc w szybowcu – odpowiedział Windisz. – Tak samo spadochron. Wprawdzie przez noc nic nie powinno im się stać w kabinie szybowca, ale to nie jest miejsce na przechowywanie.

Stanęli przed okutymi żelazem, ciężkimi drzwiami do hangaru. Chłopiec je znał. Wiedział, ile siły trzeba użyć, aby je prawidłowo otworzyć. Nie można pchać zbyt mocno, bo rozpędzone drzwi odsuną się za daleko. Nie można też użyć za mało siły, bo zablokują się w połowie. Kiedy je rozsunęli, ich oczom ukazał się szybowiec. Był tam. Stary ostrożnie zdjął pokrowiec z kabiny, otworzył owiewkę i położył spadochron na siedzeniu. Chłopiec postawił akumulator na podłodze. Beton był zimny, przyjemny i równy. Zdjęli pokrowce ze skrzydeł, a potem pilot schował je za siedzeniem. Razem zamontowali akumulator, sprawdzili, czy działa radio, i Windisz pozwolił małemu powtórzyć przegląd, który wczoraj wykonał. Chłopiec z poważną miną sprawdził działanie sterów i hamulców aerodynamicznych,

a także ruchome elementy, takie jak lotki oraz ster kierunku i wysokości. Następnie skontrolował działanie zaczepów i dokręcenie gałek w kabine pilota, zgodnie ze wskazówkami, które kiedyś otrzymał.

– Szybowiec jest gotów.

– W takim razie idź do skrzydła. – Stary pokijał głową.

Windisz wiedział, że Mucha jest sprawna, ale pozwolił chłopcu sprawdzić to raz jeszcze. Niech malec się uczy – postanowił kiedyś – bo to, czym teraz nasiąknie, kiedyś, daj Boże, może uratować mu życie. Chłopiec był dumny z tego, że stary pilot pozwolił mu zająć najbardziej odpowiedzialne przy wyprowadzaniu szybowca miejsce. Jednocześnie strach ścisnął mu serce. Przecież wystarczy jeden błąd, sekunda nieuwagi i nie dość, że lot się nie odbędzie, to jeszcze szybowiec będzie musiał przejść remont. Do remontu jednak nie doszło i po niecałej minucie oparli Muszkę skrzydłem o trawę.

– Powodzenia.

– Przytrzymaś skrzydło? – poprosił chłopaka Stary, zakładając spadochron.

– Pewnie. Pewnie, że tak!

III.

Silnik zielonego dwupłatu terkotał na wolnych obrotach. Żółte końce dwułopatowego śmigła

kreśliły idealny okrąg przed nosem maszyny. Chłopiec, trzymając krawędź spływu skrzydeł Muchy, w której siedział Stary, podczepionej linką do CSS-13, patrzył na jego pomarszczoną twarz. Halny od Tatr smagał mu policzki, wył na zastrzałach samolotu i zmuszał chłopca do mocniejszego trzymania skrzydła, strugi ciepłego powietrza zaś osuszały jego łzy.

Stary uniósł rękę, uśmiechnął się do chłopca i przykładając otwartą dłoń do brwi, zaszalował młodemu przyjacielowi. Twarz chłopaka rozpromienił uśmiech, wyraźnie zobaczył on bowiem jasne, szczęśliwe oczy Starego. Nikt z patrzących na tę scenę nie wiedział, że dla tego pilota to ma być ostatni start.

Spokojne terkotanie silnika holówki nabierało tempa, przypominając orzący traktor. Żdźbła kładły się pod naporem pchanego przez śmigło powietrza. Czarne opony kukuruźnika rozgniatały wysuszoną trawę. Samolot machał na prawo i lewo sterem kierunku z wymalowaną szachownicą, niczym ogromna ryba ogonem, po czym się zatrzymał. Lina z nieregularnej krzywej zamieniła się w prostą, łączącą ogon samolotu z dziobem szybowca jak pępowina.

– Napreżona – zatrzeszczał w słuchawkach pilota starczy głos. – Startuj.

Terkot silnika narastał, a szybowiec ruszył za samolotem. Chłopiec po trzech krokach puścił skrzydło. Samolot niemal natychmiast uniósł ogon i podskoczył, sunąc po wyschniętej jesien-

nej trawie, która nagięta podmuchem, zdawała się płynąć jeszcze kilkadziesiąt metrów za samolotem, nabierającym prędkości z każdą sekundą. Stary oderwał Muchę. Szybowiec niechętnie, jakby nieśmiało, uniósł się pół metra nad ziemię.

– Spójrzcie – powiedział przyglądający się tej scenie młody pilot – nigdy nie widziałem tak precyzyjnego pilotażu.

– To Stary – odpowiedział dyrektor aeroklubu i zawiesił wzrok na sylwetce szybowca.

Ten zaś niósł się za samolotem coraz chętniej. Wzburzone śmigłem powietrze zdawało się nie przeszkadzać Staremu. Dla niego strugi zaśmigłowe były sprężyste, wyraźne, namacalne.

– Tym razem – mruknął dyrektor – przeszedł sam siebie. – Uśmiechnął się, wpatrzony w przepiękny start.

Obserwatorzy wiedzieli, że każdy z nich mógłby się uczyć od Starego. Żaden nigdy tak pięknie nie wystartował i nie prowadził szybowca tak precyzyjnie. Tymczasem samolot wspinał się nad pole wzlotów, stając się w oczach chłopca, dyrektora i kilku zgromadzonych przy porcie pilotów coraz mniejszy. Ciemniejąca za lotniskiem ściana lasu odbijała echem terkotanie, które zagłuszane wyciem halnego, cichło z każdą sekundą, było coraz słabsze i słabsze, aż znikło zupełnie. Chłopiec stał z dłonią nad brwiami, niczym z daszkiem osłaniającym młode oczy od słońca; wpatrzony przed siebie, nie spuszczał wzroku z rozplywających się w dali pozornie

nieruchomych sylwetek. Kopki na niebie unosiły się w stronę szarych tatrzańskich szczytów. Wreszcie, gdy obie sylwetki znikły, chłopiec odwrócił się, sprawdził dłonią, czy aby na policzkach nie zostały mu łzy, i począł ku portowi. Tam jego oczom ukazał się niespodziewany widok.

– Co tutaj robisz?

– Przyszedłem się rozejrzeć – odparł ojciec chłopaka. – Podobno twój Stary chce pobić rekord.

– Mój Stary?

– No, Windisz.

– Już z nim nie latam – szepnął chłopak – jeśli o to ci chodzi, ojczu. Tak jak kazałeś – powiedział, odwracając głowę ku panoramie gór.

– Nie przyszedłem cię kontrolować.

– To po co przyszedłeś?

Mężczyzna się uśmiechnął, lecz w tym nagłym przyptywie ojcowskich uczuć był smutek. Właśnie pojął, że nie umie już niczego więcej wyczytać z młodzieńczej twarzy własnego dziecka. Zrozumiał, że w jego synu coraz mniej jest chłopca, bo oto staje się on mężczyzną. Nie powinien był zabraniać mu latania ze Starym.

– Myślisz, że mu się uda?

– Na pewno – odpowiedział mały i ruszył z powrotem na pole wzlotów. – Teraz mnie zostaw.

Między nimi, między synem a ojcem, już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Bezmyślnie

zabrał ukochanemu dziecku coś, co wznosi go gdzieś tam, ku niebu. „Nie wiem – myślał mężczyzna wpatrzony w plecy syna – czy to stary przyjaciel chłopca zabiera mi dziecko w świat dorosłych czy miłość do latania, ale widocznie się pomyliłem”. Postanowił, że wieczorem, gdy tylko Stary wróci, oznajmi synowi, że znów mogą razem latać. I nieważne, że Stary nie pobije żadnego rekordu. Nieważne, że dziwak z niego. „Nieważne, że wolałbym – myślał – aby chłopak latał ze mną. Ja nie mam czasu, a mały rwie się w powietrze. Nie będę go powstrzymywał”.

IV.

Tymczasem Stary, wpatrzony w koła samolotu, nie myślał już o niczym innym, tylko o locie. Skupiał uwagę na jego precyzji. Muszka leci dokładnie tak, jak tego wymaga pilot. Nie ma w tym ani krztyny przypadku, bo na przypadek w lotnictwie nie ma miejsca. Każdy ruch to trajektoria: przewidziana, obliczona, zamierzona. Jest tu miejsce tylko na walkę z powietrzem, które nieustannie niweczy balistykę lotu.

Szum opływających kabinę i skrzydła strug uspokajał Starego, czyniąc go szczęśliwym. Oto człowiek jest tam, gdzie chce być, i robi to, czego pragnie. Wyraźniej rysowały się ostre rysy skał wynurzających się z ciemnozielonego dywanu regła. Jednak to chmury najbardziej cieszyły ser-

ce Starego. Tak, chmury! Tylko one były jeszcze potrzebne do ostatecznego spełnienia. I Stary wiedział, że to nie są zwykłe chmury. Stosy ułożonych jeden na drugim gigantycznych talerzy z pary wodnej cieszyły starcze oczy, bo soczewki – jak nazywał je w myślach – świadczyły o tym, że może się udać. Może uda się pokonać siebie.

– To *Alto cumululus lenticularis*. – Pilot przypomniał sobie rozmowę z chłopcem.

– Skąd one się biorą?

– Cyklony wokół Arktyki wzbudzają fale na Atlantyku. Polarny prąd strumieniowy przesuwają się nad Europę. Ogromne masy powietrza przesuwają się wokół kuli ziemskiej, a przecież jej powierzchnia nie jest równa, prawda?

– Są jeszcze góry?

– Właśnie. I kiedy przesuwające się powietrze natrafia na taką przeszkodę jak dla przykładu Tatry, jego ogromne masy piętrzą się od strony nawietrznej i się unoszą.

– Na to czekasz?

– Tak, to właśnie fala.

– A skąd ta nazwa?

– Po drugiej stronie masywu powietrze nie spływa gładko, ale faluje.

– Jak to?

– Przypomnij sobie, co dzieje się z wodą, kiedy wrzucisz kamień do stawu.

– Tworzą się kółka?

– Kręgi. – Stary pokiwał głową. – I tak samo jest z powietrzem, kiedy przesunie się nad łańcu-

chem górskim. Od strony zawietrznej tworzą się gigantyczne rotory, zawirowania; powietrze szaleje, wzbudzone, wytrącone z równowagi, unosi się i opada, odbija od ziemi, unosi i opada. Potem znów wędruje w górę, coraz słabsze i słabsze, aż kilkadziesiąt kilometrów dalej uspokaja się i znów przesuwa się równolegle do ziemi.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Powietrze pędzi z ogromną prędkością.

– Jak szybko?

– Dwieście, trzysta kilometrów na godzinę.

– Czy to jest halny?

– Tak. To jest halny, chłopcze, ale tak nazywamy go tutaj, na Podhalu. Czesi w Sudetach mówią o tym wietrze *Polák*, w Alpach ten wiatr nazywają *Föhn*, w Rumunii wieje *austral*, a w Ameryce Południowej jest *puelche* – niezdarnie wymówił obco brzmiącą nazwę Stary. – Amerykanie mają *chinooka* w Górach Skalistych i diabelski wiatr w Karolinie, ale to ten sam wiatr. Zawsze rozpoznaje się go tak samo. To dzięki tym chmurom siła tego straszego żywiołu jest widoczna.

– Dziwne.

– Co?

– Kiedy wieje, jest raczej zimno i nieprzyjemnie, a ten wiatr jest ciepły.

– U nas to jeszcze nic. W Ameryce taki wiatr czasem podnosi temperaturę o nawet dwadzieścia stopni.

– Czyli wiosna w środku jesieni?

– Nawet lato – sprostował Stary. – Pod koniec wojny spotkałem pewnego Amerykanina. Był jak ja pilotem. Pochodził z... – Windisz myślał, próbując sobie przypomnieć nazwę – mam! Ze Spearfish – wypowiedział anglojęzyczną nazwę miasteczka z zadziwiającą łatwością. – To jest gdzieś w Dakocie Południowej. Ten pilot opowiadał, że w jego mieście *chinook* w ciągu dwóch minut podniósł temperaturę aż o dwadzieścia siedem stopni.

– Czy to niebezpieczny wiatr?

– Zrywa dachy i linie energetyczne, łamie drzewa, a kiedy wieje, ludzie mają gorsze samopoczucie, ale nie ja. Ja się nim cieszę. Czekam na niego, bo kusi mnie stratosfera. Tam, pod soczewkami, jest najwyższe miejsce fali, rozumiesz?

– Nie bardzo.

– Jeśli powietrze unosi się i opada, to pod soczewką powietrze się unosi. I daje wspaniałe noszenie. Kilka metrów w górę. Pokażę ci kiedyś. – Ostatnie zdanie wytrąciło Starego z zamyślenia.

„Niepotrzebnie to chłopcu obiecałem. Do diabła, stary durniu! Nie czas na to teraz” – pomyślał. Lecieli już prawie kwadrans. Ziemia się oddaliła, a góry stały się bliższe. Szczyty otulał biały puch chmur. Pilot łagodnie skręcił na zachód i ustawił się na prawo od Tatr. Czuł noszenie. Zerknął na tablicę przyrządów. W wysokościomierzu odbijało się słońce: kilometr i dwieście pięćdziesiąt metrów nad poziomem lotniska.

Wariometr: wznoszenie cztery metry. Pomarańczowy słupek pomiędzy nimi wskazywał, że temperatura zbliżała się do zera. Samolot machał skrzydłami, Stary delikatnie pochylił nos Muszki i z wyczuciem pociągnął za uchwyt zwalniający zaczepek. Lina oddzieliła się od szybowca.

– No, Stary, zaczęło się – powiedział pilot i przez chwilę leciał prosto. W dole pod sobą widział Zakopane. Prześwitujące pomiędzy chmurami nad szybowcem słońce ogrzewało mu lewy policzek. Promienie głąskały drewniany kadłub, odbijając się od lakieru. Poszarpane powietrze kołysało Muszką jak łodzią. Pilot wcisnął pedał lewą stopą i pochylił drążek w tę samą stronę, a Mucha posłusznie położyła się na lewe skrzydło. Przed oczami lotnika przesuwały się Tatry. Kulka chyłomierza ani na chwilę nie zmieniła położenia i tkwiła pośrodku – pewna, wyraźna i dokładna. Stary wyprostował lot i zawrócił. Wariometr ustawił wskazówkę pionowo, jak gdyby chciał pokazać godzinę dwunastą, lecz zamiast tego pokazał wznoszenie trzy i pół metra na sekundę. Noszenie było przyjemne, stałe, niezbyt silne. Windisz szukał niewidzialnego oparcia, a płynne powietrze pod ruchami jego sterów nie tylko przyjęło postać stałą, ale było coraz bardziej sprężyste. Człowiek w ciasnej kabinie piął się po nim.

– Więc jesteś gdzie indziej – mruknął pilot. – Dużo wyżej.

Nozdrza zarejestrowały wilgoć w powietrzu, człowiek przenosił wzrok wzdłuż skrzydła i widział w dole szybującego orła. Zwierzę przekrzywiło głowę i z ciekawością przyglądało się intruzowi naruszającemu zarezerwowane dla niego terytorium.

– *Aquila chrysaetos* – mruknął Stary do siebie, wpatrując się w ptaka jak urzeczony. Drapieżca krążył prawie z tą samą prędkością co Mucha. W chwili kiedy sylwetka orła znikła w słońcu, pilot uświadomił sobie, że zwierzę wznosiło się szybciej niż on. „Skieruję Muchę – pomyślał – kilka stopni w stronę miejsca, gdzie jeszcze przed minutą szybował Szponiasty”.

– Trafne przewisko. Ciekawe, czy przypadłoby ci do gustu – powiedziawszy to, pilot poczuł uderzenie masy powietrza w skrzydła. – O cholera!

Było ono niczym podmuch szkwału w żagiel. Drażek uciekał w bok, lecz mięśnie pilota były jak stal. Wskazówka wariometru błyskawicznie przeskoczyła w prawo i już nic nie pokazywała. Stary zerknął na drugi zegar wyskalowany do trzydziestu metrów na sekundę. Uśmiechnął się. Wskazówka przekroczyła skalę, a krew z głowy Starego odpłynęła. To dobrze, bo w tej jednej chwili przytępiiony dodatnim przeciążeniem słuch nie rejestrował trzeszczenia drewnianych elementów Muchy. Tymczasem chmury były już prawie na wyciągnięcie ręki. Szybowiec unosił się, odpychany od ziemi z ogromną siłą. Ziemia ucieka-

ła, malała, aż znikła gdzieś z tyłu. Błękit nieba stał się wyraźniejszy, w szybowcu było głośniejsze, lecz Staremu to ani trochę nie przeszkadzało. Przeciwnie, starcze serce wypełniło się szczęściem. Szumy, gwizdy, zawodzenia i jęki oznaczają, że leci. I z każdą sekundą jest bliżej celu.

– Tu jesteś, draniu. – Stary na jedenastej znów zobaczył Szponiastego.

Brązowy zabójca szybował z nieruchomymi skrzydłami. Tylko sześć lotek pierwszego rzędu ruszało się na wietrze, niczym ogromne palce. Ptak rozcapierzył swoją gigantyczną dłoń z piór i obmacał powietrze, szukając najlepszego noszenia. Stary był w stanie dostrzec jaśniejsze pióra w środku skrzydła oraz na szyi ptaka. Orzeł leciał bez jednego zbędnego ruchu, bez niepotrzebnego drgnięcia, zbliżał się i oddalał. Nagle odwrócił głowę, zdziwiony obecnością wielkiego ptaka w kolorze skórki pomarańczowej. Pilot dokładnie widział idealnie złożone pod ogonem ptaka żółte nogi, niczym schowane podwozie samolotu, i na myśl przyszedł mu jego Supermarine Spitfire.

– Leć, sukinsynu – powiedział, widząc zakrzywiony, czarny dziób orła – to twoje królestwo.

Stary przez chwilę obawiał się, że ptak złoży skrzydła, zapikuje i w szaleńczym ataku zderzy się z Muchą. Szponiasty jednak odleciał, a Windisz, mrużąc oczy w słońcu, rzucił spojrzenie na wysokościomierz. Tysiąc osiemset metrów. Chmury tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. A więc

podstawa dzisiaj to mniej więcej dwa kilometry. „Tyle że przy takiej windzie dwieście metrów w górę trwa zaledwie moment” – pomyślał pilot i rzeczywiście już leciał pomiędzy górami chmur. Musiał jednak być czujny, bo one dotykały prawdziwych szczytów. Na szczęście stary dziwak doskonale znał każdy centymetr nieba nad Tatrami i wiedział, gdzie może sobie pozwolić na lot bez widoczności, z zegarami w roli oczu. Szczególnie że teraz, kiedy był już ponad dwa kilometry nad lotniskiem, nie miało to już najmniejszego znaczenia. Najwyższy szczyt Tatr ma ponad dwa kilometry sześćset metrów, a za prawym skrzydłem Muchy są Tatry Zachodnie, nie zaś Tatry Wysokie. Do Gerlacha, Łomnicy, Lodowego Szczytu i Rysów jeszcze daleko. Skalał wysokościomierz na lotnisku, które leżało na siedmiuset metrach. Nawet gdyby znalazł się teraz nieopodal Starorobociańskiego Wierchu, byłby bez mała czterysta metrów nad wierzchołkami.

– Ale nie jestem – powiedział sam do siebie, wzbijając się o kolejne metry. Z tej perspektywy widział, że pomiędzy nimi prześwitują Białka i szosa z Nowego Targu do Jurgowa. Zawrócił o dwieście siedemdziesiąt stopni, szybko więc posłusznie wykonał polecenie i skierował się na zachód. Stary przyglądał się busoli. Tu, wyżej, wiało wprost od Tatr. Noszenie się ustabilizowało. Osiem metrów na sekundę. Wreszcie szybko więc wyszedł z rozpadających się już chmur.

– Jesteś – mruknął do siebie. – *Ac lent!*

Przed oczyma otoczonymi promienistymi zmarszczkami ukazało się to, na co czekał. „Ogromna soczewka, zdradzająca bardzo wysokie noszenia” – myślał. Kontrolował wysokość: trzy kilometry. Skręcił. Rotor na wprost. Jego dolna podstawa była dwieście metrów nad ziemią, górna – diabli wiedzą, gdzie dokładnie, ale nie niżej niż trzy i pół kilometra nad ziemią. „Sukinsyn będzie miał z pięć kilometrów” – przemknęło pilotowi przez myśl. I w tej właśnie chwili Stary poczuł drżenie na drążku. Spojrzał na wariometr – duszenie. Popatrzył na wysokościomierz – duża wskazówka z każdą sekundą przesuwiała się w lewo!

– Co do diabła?

Odwrócił głowę i jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Szybowiec drżał, przygnieciony ogromną masą powietrza. „Boże – pomyślał – to przez tego sukinsyna! Jak mogłem popełnić tak szkolny błąd?”.

V.

Na lotnisku panował senny spokój. Drzewa gubiły ostatnie liście, w porcie zamiast wiosennej gwaru pilotów, instruktorów i uczniów panoszyła się jesień. Późnojesienna pogoda rozpieszczała ciepłem i promieniami słońca, choć na horyzoncie rysowały się niepokojące chmury. I ten wiatr. Nie pozwalał przez chwilę poczuć się

jak przed sezonem. Mężczyźni prowadzili rozmowę przed hangarem, ale zmęczyło ich przekrzykiwanie halnego, więc skryli się w świetlicy. Chłopiec usiadł przy kominku i słuchał, wpatrzony w ogień.

– Nie wraca – mruknął dyrektor aeroklubu, zerkając za okno. – Cholera jasna.

– Widać złapał warun.

– Myślisz? – Dyrektor uniósł brwi. – Przecież cały czas miał pecha.

– Nie cały czas, ale od dwóch sezonów. – Prezes się skrzywił. – Pamiętam, jak trzy lata temu całą jesień wisiał w powietrzu. I zimą też wisiał. To, że w tym roku nie załapał się jeszcze ani razu, nic nie znaczy. Każdy może mieć pecha.

– Pecha tak, ale ta sprawa z rekordem świadczy o tym, że w jego głowie chyba dzieje się coś niedobrego.

– Niedobrego od razu. Zwyczajnie staruch dziwaczeje z wiekiem.

– Jeszcze nam kłopotu narobi.

– Może przynajmniej dzisiaj – wtrącił się ojciec chłopca – biedak sobie polata nad górami.

– Mnie jest go żal – ciągnął prezes. – Wiem, że macie inne zdanie, ale on jest nieszkodliwy. Widzieliście, jak wystartował, co?

– Uhm.

– No właśnie. A że na starość mu trochę odbija... Cóż w tym złego, że marzy o rekordzie? A co ma innego? Jest na emeryturze, to lata, a jak

lata, to mu się wydaje, że może i rekord pobije. A właśnie, wiedzieliście, że latał na rurach?

– Co?

– Po powrocie z Anglii – zwrócił się prezes wprost do dyrektora – załapał się najpierw do Poznania, a potem Modlina.

– Co ty mówisz?

– Jak Boga kocham! W Poznaniu latał na MiG-u-15. Nawet raz podobno mu silnik przy starcie ucięło. I wylądował. Myśleli, że już po nim. A on, sukinsyn, wylądował odrzutowcem bez silnika, jakby to był szybowiec.

– Bzdury jakieś! Stary na ruchach? Nonsens.

Chłopiec się uśmiechnął, bo wierzył w tę historię. Wierzył w nią tak samo, jak nigdy nie zwątpił w Starego.

– Panowie – odezwał się ojciec chłopca – nie wiem, czy to prawda, ale ja też o tym słyszałem. Silnik ucięło mu zaraz po oderwaniu, przy przejściu na strome wznoszenie. A on jeszcze podciągnął samolot w górę, żeby mieć wysokość, oddał drążek i zawrócił o sto osiemdziesiąt. Później posadził maszynę z prostej, z wiatrem, bez szwanku. Na wieży myśleli, że to koniec, bo z silnika poszedł czarny dym.

– Cholera – mruknął prezes. – Może źle go potraktowaliśmy?

– A ty co? – Krzaczaste brwi dyrektora się uniosły. – Zmieniłeś zdanie? Aeroklub nie jest ani mój, ani twój, ani jego. Istniejemy, aby szkolić. Jak nam dureń rozbije Bociana, to co zrobi-

my? Koniec z nami. Nie mieliśmy wyjścia. – Ton dyrektora złagodniał. – I tak zrobiliśmy więcej, niż należało. Jest przecież w powietrzu. Zresztą – dyrektor machnął ręką – w przyszłym roku i tak lekarz uziemi go na dobre. Będziemy mieli problem z głowy.

– Tak – powiedział prezes w zamyśleniu. – I to z czystym sumieniem.

VI.

Szponiasty latał na czole burzy. „Skurwiel. Zauroczony ptakiem, zlekceważyłem to, co działo się za plecami. Wpadłem w duszenie – myślał, odpychając drążek – czyli gdzieś za mną musi być winda w górę, lecz co to? Prędkość gwałtownie rośnie!”. Stary otworzył hamulce na skrzydłach, podmuchy rzucały Muchę na prawo i lewo, turbulencja wywróciła skorupkę z drewna i sklejkę na plecy.

– Za późno. Już nie ucieknę – mamrotał pilot. – Czas walczyć.

Uderzenie żywiołu jest niczym cios gigantycznym młotem lub razy w beznadziejnym starciu pięciolatka z ważącym sto pięćdziesiąt kilogramów dorosłym zapaśnikiem. Mimo to Mucha bohatercko uchylła się od niszczycielskich podmuchów dzięki umiejętnym ruchom pilota. Szybowiec cudem uniknął uszkodzeń, jak gdyby ów pięcioletni brzdąc zwinnymi ruchami uchylał się

od morderczych ciosów, wciąż nie dając się osaczyć silniejszemu. Chmura była silna, chciwa krwi i drzazg. Zasysała nieostrożnego pilota z ogromną siłą. Człowiek w kabince podjął walkę. Ślizgał się na obrzeżu chmury, starał się uspokoić lot i usiłował uciec w dół. Zawrócił szybowiec, dźwigary złowieszczo trzeszczały od niszczycielskich podmuchów. Pędzące z olbrzymią szybkością powietrze nadal pchało go ku ziemi, świat za pleksiglasową owiewką stawał się z każdą sekundą ciemniejszy, bardziej ponury, złowrogi i obcy. „A więc pochłaniał mnie” – przebijał się do świadomości Leona gorączkowy komunikat.

Żywioł ukazywał bezlitosne oblicze. Windisz schował hamulce. Zawrócił, uważnie wpatrzony w busolę. Stery zareagowały z opóźnieniem, niechętnie zakrętom. Teraz najważniejsze zadanie to nie tracić głowy. Nie zgubić się, nie stracić położenia na ciemniejącym od zawieruchy niebie. Wreszcie udało się zawrócić Muchę, lecz wiatr od czoła był tak silny, że kropka na niebie wisiała w powietrzu, zaczepiona niczym latawiec, nie posuwając się ani o metr. Huragan może nawet spychał ich w tył. Stary zerknął na prędkościomierz i wskazanie wysokości. Kątem oka rejestrując ziemię gdzieś niedaleko, uświadomił sobie, że zostało kilkadziesiąt sekund na walkę z naturą. Jeśli za chwilę nie wyprowadzi szybowca z duszenia, pozostanie tylko szukać miejsca do lądowania w terenie przygodnym.

– Niech to szlag! – zaklął pod nosem. – Ratuju się, stary głupku!

W tej samej chwili wszystko, co widział, znikło. W kabinie zapadła noc. Do owiewki przykleiły się płatki śniegu. „A więc to chmura śniegowa” – krzyczało w głowie pilota, choć przecież rozpoznał wcześniejsze znaki. „Do diabła! Do diabła z nią! Nie z takimi walczyłem! Zwycięzę i tym razem!”

– Tysiąc metrów! – Windisz niemal słyszał wysokościomierz, choć nie odrywał wzroku od busoli i zakrętomierza.

Do ziemi mniej, może z osiemset, a diabeł nadał chmurę śniegową. Tyle że ziemi nie widać. Niczego nie widać. Stary wiedział, że śnieg za chwilę oblepi skrzydła i stery. I tak dokona się koniec. Zaciśnął usta, z których krew dawno uciekła do mózgu, tam bowiem była teraz najbardziej potrzebna. Jedyne, co Windisz może przeciwstawić burzy, to doświadczenie, wytrzymałość, woła oraz myślenie. Choć nie czas na nie. Trzeba działać bezzwłocznie.

– Nie zrzucisz mnie! – krzyknął w kierunku wirujących płatków śniegu. – Słyszysz, ty suko! Nie spadnę!

Odepchnął drążek. Znów pełne hamulce. Szum powietrza wzrósł, bo oto Mucha ustawiła się niemal pionowo w dół. Pęd w nurkowaniu przeszedł w drażniący uszy huk. Wskazówka prędkościomierza, zamiast powędrować w stronę stu czterdziestu, stu sześćdziesięciu i dwustu,

nagle opadła, zdając się rezygnować. „A więc dajnik ciśnienia zatkany” – dotarła do pilota gorączkowa myśl. „Jak szybko mogę lecieć?” – zaatakowała go następna. „Byle nie oberwać sterów albo skrzydeł. Byle nie rozpędzić się za bardzo”. I w chwili, kiedy wskazówka wysokościomierza zbliżyła się do wielkiej szóstki, Stary poczuł, że stery zaczynają wpadać w drgania.

– Równaj! – krzyknął, delikatnie ściągając drążek. – Równaj, na Boga! – Ale szybko więc był głuchy i nie reagował. Zamiast przejść do poziomego lotu i na pełnej prędkości wypaść z chmury, pochylił nos bardziej i spadał, bezładnie, beznadziejnie, bez kontroli, niczym kamień, wciąż przyspieszając. Ułamek sekundy później jasność rozblęła jak wybuch. Pojawiła się ona. Ziemia. Wybuchła kolorami i światłem. A zatem wypadł z chmury! Dobrze, choć był ledwie pięćset metrów od lasu. Za mniej niż dziesięć sekund uderzy w świerczyny, tak boleśnie kłujące go teraz w oczy. Chyba że... Sięgnął ręką do czerwonej gałki awaryjnego zrzutu kabinki, ale ramię ciążyło, jak gdyby zawisły na nim trzy wiadra wypełnione mokrym piaskiem. Na skok było za późno! Jedyne, co było jeszcze możliwe, to zniszczenie płatowca. Beznadziejnym ruchem zaciągnął drążek; wiedział, że albo zaraz odejdą z trzaskiem skrzydła, lotki lub cały ogon, albo wyrówna lot. Oba scenariusze dałyby szansę. Pierwszy – na skok ratowniczy, drugi – na dalszą walkę.

Nos Muchy się podniósł. Las pod nimi przesuwiał się w tył, uciekał, a ogromna siła wgniotła Starego w siedzisko, krew napłynęła do głowy Windisza. Pilot oparł ją o zagłówek i walczył z przeciążeniem. Zaciśnął dłoń na drążku, aż pojawił się ból. „Dobrze, że jest” – myślał. „Dobrze, że jesteś, bólu” – kołatało mu się w głowie. Lewą ręką uniósł piach w zawieszonych na niej wiadrach, walcząc z gałką hamulców aerodynamicznych, i poczuł, że przegrywa. Siła się kończyła.

– Pieprzona suko – krzyknął niewyraźnie, bo przyciąganie ziemi zniekształcało twarz – zawsze byłaś zdradliwa.

„Wytrzymaj” – dotarło do jego umysłu. „Wytrzymaj! To rozkaz! Wytrzymaj, nim wszystko zgaśnie”. Szybowiec wyrównał lot i zwolnił. Uspokoił się. Powietrze tutaj, pod śnieżycą, było spokojnie, wietrzne. Po dwóch, trzech sekundach, kiedy krew wróciła do mózgu Starego, a wraz z nią pojawiła się świadomość, mruknął, zamykając hamulce.

– Jest dobrze. Prędkość: sto. Wysokość: niecałe czterysta – mówił do siebie, lecz jedno spojrzenie w prawo, wzdłuż skrzydła, zdemaskowało kłamstwo wysokościomierza. Brzuch Muchy zdawał się niemal muskać świerki pod nim. Stary działał instynktownie. Nie miał czasu, by się zastanawiać. Stopa do końca i drążek na udo. Szybowiec natychmiast odszedł w kierunku doliny, zyskując nieco odległości od ziemi.

– Było blisko – mruknął Stary, stuknąwszy paznokciem w szybkę wysokościomierza. – Nawet bardzo – dodał, rejestrując wskazówkę spadającą nagle w kierunku cyfry trzy, i otarł zimny pot z czoła.

„Lotnisko ma elewację sześćset dwadzieścia sześć, tutaj jest jakieś siedemset pięćdziesiąt, może osiemset. Ten skurwiel – myślał o wysokościomierzu – wskazywał trzysta. Czyli jestem sto pięćdziesiąt, sto dwadzieścia metrów nad ziemią”.

– Szkoda, że cię tu nie ma – powiedział głośno do chłopca. – Przydałbyś się teraz. Teraz, kiedy już prawie przegrałem, ale jeszcze walczę – mamrotał tak, jak gdyby jego mały przyjaciel mógł go usłyszeć. – Wyszukiwałbyś pola, a ja skupiłbym się na naszym *status quo*. – Zmrużone oczy Windisza wypatrywały odpowiedniego miejsca do posadzenia szybowca.

Las, zabudowania, zbyt strome stoki, płoty. Z góry wszystko wydawało się uporządkowane, ale inne niż tam w dole. Tam było pełno nieprzyjaznych szczegółów. Linia energetyczna. Murek z okrągłych kamieni. Rów z wodą. Nasyp pod drogą. Wąskie szpalery drzew, zabudowania. Podhalański krajobraz nie sprzyjał takim sytuacjom. Małe poletka, duże nachylenie, głębokie i wąskie doliny. Wreszcie Leon Windisz dostrzegł odpowiednie pole i natychmiast skierował się w jego stronę. Leciał pod wiatr, brakowało mu już wysokości, aby zbudować krąg. Brakowało

wysokości, żeby się przyjrzeć, czy wybrane pole jest aby na pewno bezpieczne. Trzeba było lądować z prostej. Nie było już czasu, by ocenić przydatność pola. Muszysko prawie odbiło się od ziemi.

VII.

Przy kominku w porcie było ciepło, a jednak w serce chłopca z wolna wkradał się niepokój. Straciwszy z oczu widok gór z powodu opadów śniegu, uświadomił sobie, że gdzieś tam, gdzie poleciał Stary, pojawiła się niewiadoma. Czy zdążył ominąć chmurę, czy zapobiegawczo wylądował? A może jest już nad nią? Może już lata gdzieś pod soczewkami, szczęśliwy, zwycięski i wielki?

– Nikt jeszcze nie dzwonił?

– Nie – odpowiedział dyrektor aeroklubu – cisza.

– Więc może mu się udało?

– Mam nadzieję. – Głos dyrektora nie brzmiał jednak przekonująco. – Bo jeśli nie, to albo jest gdzieś w dolinie przy szybowcu, albo diabli wiedzą, co mógł nawyprawiać ten stary, uparty osioł.

– Próbowałem wołać go przez radio – odezwał się po raz pierwszy szef wyszkolenia. – Wołałem ze dwadzieścia razy. I nic. Same trzaski.

– Uhm. Trzaski. Czyli burza.

– Burza.

– Niedobrze. – Dyrektor zacisnął pięść. – Bardzo źle.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – zaprotestował prezes. – Wszyscy wiemy, że Stary nie lubił zajmować eteru. Sami wiecie.

– Co innego zajmować, a co innego podać ważny komunikat. – Dyrektor pokręcił głową.

– Może wyłączył radio? – powiedział szef. – Oszczędza akumulator na długi lot.

– Albo coś nawyprawił.

– A cóż mógł nawyprawić? – zapytał prezes. – Lata gdzieś, cholera wie, gdzie dokładnie. Nie ma się czym przejmować.

Chłopca to nie uspokoiło. Wierzył, że Stary walczył gdzieś tam, daleko, zdany jedynie na siebie. Widział zaciętą twarz przyjaciela wciśniętego w ciepłe ubranie, w baraniej czapce, przygotowanego do ekstremalnego lotu, niczym Robert Falcon Scott podczas wyprawy na biegun północny.

– Spójrzcie – powiedział dyrektor. – Przecież to katastrofa. – Odwrócił się do szyby i usiadł, kładąc ręce na głowie.

Dziesięcioro oczu spoglądało za okno, które wichur obrzucał ogromnymi płatkami. W świetlicy zrobiło się ciemno. Szef wyszkolenia, młody, dziarski chłopak, włączył światło. Na zewnątrz zawierucha przybrała na sile, ale płatki śniegu sływały po szybie. Prognoza nie przewidywała opadów śniegu. Zachmurzenie siedem ósmych

stratocumulusami. Soczewki niewidoczne. Temperatura dodatnia. Wiatr silny... Tyle że to tylko prognoza. Komunikat meteorologiczny. Przypuszczenie, przewidywanie, a przecież nie można przewidzieć natury.

Lampa przygasła, rozbłysła, znów przygasła i zgasła na dobre. W świetlicy zapadła ciemność. Twarz chłopca oświetlał jedynie kominek. Ojciec pogrzyżył się w mroku, podobnie jak dyrektor, prezes i szef wyszkolenia.

– Jeśli wylądował w dolinie – ostrożnie powiedział szef wyszkolenia – prawdopodobnie nie będziemy go słyszeć. Góry wszystko wyciszą. – W jego niskim głosie nie było słychać nadziei, tylko wahanie.

– Poczekajmy trochę. Jeśli żyje, sam się odezwie – ponuro zarządził prezes. – Nie śpieszmy się, trzeba czekać.

Niewidzialna siła, niczym mróz na Antarktydzie, ścisnęła młodzieńcze serce chłopca. Wpatrywał się w milczeniu, jak ogień trawę pachnącą żywicą świerkowe polana. Trzask drewna nieprzyjemnie brzmiał w uszach pilotów. Wiedzieli oni, że łamane skrzydła brzmiały bardzo podobnie. Zapadło milczenie. Chłopcu przypomniało się, że przecież Scott po zdobyciu bieguna zginął z powodu zimna i głodu gdzieś w drodze powrotnej z Antarktydy do cywilizacji.

VIII.

W chwili, kiedy ta myśl zrodziła się w głowie chłopaka, pilot przesunął trymer ku dziobowi i sięgnął lewą ręką do hamulców aerodynamicznych. Ustawił się na kursie do stromego schodzenia, gdy szybowiec niespodziewanie podrzuciło.

– Co do cholery? – głośno zaklął Stary. – Teraz chcesz kusić? – dodał w nie wiadomo czym kierunku.

Pojawił się zbawczy prąd od ziemi. Wysokościomierz już prawie nic nie wskazywał, za to wskazówka wariometru wyraźnie ustawiła się na zerze. Stary wstrzymał się z decyzją o lądowaniu, utrzymał lot przez dwie, trzy sekundy; wskazówka nadal nie spadła poniżej zera.

– Teraz? Teraz? – syczał. – Chcesz mnie zabić czy tylko sprawdzasz?

Wskazówka nagle podskoczyła. Pół metra. Cały czas pół metra. Stary zwlekał. Uważnie przyglądał się temu, co było pod nim. Na tej wysokości powinien był mieć otwarte hamulce i schodzić do lądowania. Żadnych gwałtownych ruchów, żadnych zakrętów, krążenia, szukania noszeń. Tego nie wolno! Bo to kończy się śmiercią. Tego zabraniają pisane krwią przepisy. Z drugiej strony widzi wyraźnie: odkryte, nachylone pole, zasłonięte lasem. Tam był jakiś żagielek. To jedyna możliwość. A może by tak... –

kusiło szybowcową duszę starucha. Może jeszcze nie wszystko stracone?

– Wygrywasz, dopóki walczysz – mruknął, uważnie trzymając prędkość. – Spróbujmy, raz śmierć staremu Windiszowi.

Mucha leciała z prędkością najmniejszego opadania. Wariometr wskazywał noszenie pomiędzy zerem a pół metra na sekundę. Stary doleciał do końca stoku i zawrócił. Wskazówka już nie spadała poniżej pół metra, ale coraz częściej podskakiwała do jedyńki. Pilot znów otarł zimny pot z czoła i uważnie trzymał prędkość. Wiedział, że jest bardzo, bardzo blisko ziemi, jednak widział też, że wznosi się z każdą minutą. „Och, jak wspaniale – myślał – żeby to tylko utrzymać”.

Błękitne oczy przeczesywały ziemię, wpatrywały się w chmury, wyszukiwały miejsca, które dałoby szansę się odbić. A gdyby tak przeskoczyć tam, na następny stok – w sercu zrodziła się nadzieja. Przed oczyma Leona rozpościerał się stromy stok, o mniej więcej trzysta, może pięćset metrów wyższy niż ten, z którego teraz korzysta. Tam musi być rotor. Gdyby tak dopaść go pod wiatr, wytrzymać i esując, wywindować się na szczyt tej karuzeli? „To moja jedyna szansa – myślał Stary – tym bardziej że jestem za nisko na lot o tej porze”.

IX.

Szef miał dwadzieścia pięć lat, licencję instruktora szybowcowego oraz wylatane sześćset pięćdziesiąt godzin. Skakał też ze spadochronem. Był średniego wzrostu, miał jasne włosy i piegowatą twarz, nie wyróżniał się niczym i nie sprawiał wrażenia, że jest tym, kim jest.

– Ma rodzinę?

– Jest sam – odpowiedział szefowi prezes – od wielu lat.

– Przecież każdy kogoś ma.

– On nie ma. Niemcy zabili mu żonę i córkę. W Oświęcimiu.

– W Auschwitz – wtrącił się ojciec chłopca.

W mroku wszystkie oczy skierowały się na niego. Śnieżycza za oknem uspokoiła się, ale nadal nie było prądu i padał topniejący śnieg. Każdy z nich doskonale wiedział, że z takim nazwiskiem trudno było tam nie trafić. Teraz zresztą też nie było łatwo mu tu żyć.

– Właśnie – powiedział dyrektor. – W Auschwitz.

– Matkę, brata i ojca także. Jemu się tylko udało, bo był...

Następne słowa nie dotarły do niczyich uszu. Trwożne spojrzenia skryła ciemność. Tylko jedno spojrzenie było inne. To oczy najmłodszego. Wpatrywał się nimi w ciemność, lecz ona była tak samo nieprzenikniona jak milczenie. To mil-

czenie konieczne, wymagane i egzekwowane. Przerwała je trzaskająca w językach ognia świerczyna. Podmuchy uderzały w szyby.

– Niech pan nie kończy – ostro przerwał ojcu chłopaka prezes.

– Oczywiście.

Ktoś tutaj gra ze śmiercią w orła i reszkę. To, że jeden z nich lubi stąpać po cienkim lodzie, nie znaczy, że może narażać resztę. Słowa mają czasem wielką siłę zniszczenia. Wiedzieli o tym, ich myśli miały jasny kontur, ostry, niczym niezamazany, z wyjątkiem tych kilku niewiadomych. Dlaczego milczał? Dlaczego nie wrócił? Co się stało i gdzie był?

– Gdzie? – Pytające spojrzenie chłopca było nieugięte. – Gdzie był? – W ciężkim powietrzu zawisło niebezpieczne pytanie.

– W Anglii...

Znów trzasnął świerk, który następnie się rozpałił, dzięki czemu krąg ognia się powiększył. Cienie tańczyły teraz także na twarzy dyrektora. Oświetlały najbliższe ściany świetlicy. Blask wydobywał znad drzwi orła w godle, jego głowa tonęła w mroku. Za to doskonale było widać czarno-biały portret Władysława Gomułki. Bez okularów, w marynarce, z krawatem. Jasna, dobrotliwa twarz za szybką w ramce. Podpis w języku rosyjskim. Litery rzucały długie cienie absurdalnej wielkości.

– Powiedział pan, panie dyrektorze – ciągnął chłopiec – że Leon był w Anglii? Co tam robił?

Niebezpieczne pytania potrafią rodzić niezwykle ryzykowne odpowiedzi. Ojciec chłopca nabrał powietrza. Szef znieruchomiał. Prezes rzucał spłoszone spojrzenia, na szczęście skryła go ciemność. Był to mężczyzna nieduży, korpulentny i nieco krzykliwy. Łypnął okiem na ojca chłopca, ten zaś uniósł głowę i położył dłoń na ramieniu syna.

– Trzeba chłopakowi powiedzieć – wycedził przez zęby. – I tak kiedyś się dowie.

– Tylko mądrze – dodał szef.

– Macie rację. – Dyrektor machnął ręką i po chwili namysłu zaczął: – Widzisz, chłopcze, nasz stary Windisz...

– Dość! – Prezes uderzył otwartą dłonią w stół, wstał i wyszedł, mówiąc: – Czyście wszyscy do reszty powariowali od tej pogody? Nie chcę przy tym być. Nie mam z tym nic wspólnego! Zapamiętajcie to: trzaśnięcie drzwiami niczego nie zmienia.

Niewypowiedziane słowa wciąż wisiały w powietrzu. Ten przy kominku czekał, by je usłyszeć, a ci w mroku przed nim czekali, by je powiedzieć. Ciemność ułatwiała, dodawała odwagi, pozwalała się poczuć bezpiecznie.

– Latał w Anglii. Na wojnie. Eskortował amerykańskie Latające Fortece. Z tego, co wiem, zestrzelił też trzy niemieckie maszyny.

– Cztery – dodał ojciec chłopaka. – Plus latającą bombę.

– Oprócz tego zniszczył dwie lokomotywy i uszkodził okręt podwodny – ciągnął dyrektor.

– Co? – Oczy chłopca zrobiły się okrągłe.

Dyrektor aeroklubu uśmiechnął się smutno, pokiwał głową, po czym patrząc na niewinną, zaskoczoną twarz w ciepłym blasku ognia, uświadomił sobie, że chłopiec go nie widzi.

– Stary Windisz? Leon?

– Była wojna – powiedział szef i zamilkł.

Wszyscy odwrócili twarze w kierunku okna. Wichura ustała, lecz wieczór pogrążył lotnisko w zmroku. Zgromadzeni przed ogniem wspominali człowieka, pilota, biorąc pod uwagę to, co jest w życiu każdego z nas nieuniknione, nieuchronne. Tylko jeden z nich nie tracił nadziei i nie dopuszczał złych myśli. I miał rację, bo dwadzieścia pięć kilometrów od nich bohater dyskusji toczył osobistą wojnę. W milczeniu, skupiony i samotny, walczył o utrzymanie się w powietrzu.

X.

Wysokościomierz wyraźnie wskazywał pięćset metrów. Staremu udało się na żaglu wspiąć na sam szczyt stoku, a potem wywindować się jeszcze z pięćdziesiąt metrów nad las. Dalej noszenia już nie było. Żagiel się skończył. Słońce tymczasem znajdowało się coraz niżej i niżej, rzucało

purpurowy kolor na brudnobiałe wierzchołki rozpadających się chmur.

„Trzeba podjąć jakąś decyzję” – kołatało się w myślach pilota. Błękitne oczy rozglądały się po niebie, wypatrując czegoś, co pomogłoby wybrać właściwie. On wiedział, czuł to, był pewny. Gdzieś niedaleko, dwieście metrów nad nim, a może mniej – ona tam była. Fala. Wystarczy ją dopaść, zaczepić się choćby końcem skrzydła, na grubość wskazówki wariometru, a potem, potem już sobie poradzi.

Zbliżał się zmierzch. A więc Leon był w górze już trzy godziny. Powietrze z jedwabistym szelestem opływało skrzydła, kadłub, owiewkę i stery. Przyklejone do szybowca, dawało pilotowi oparcie, pozwalało utrzymywać się w powietrzu i wznosić. Kolejne minuty to walka o przetrwanie nocy. O lądowaniu nie było mowy, bo to oznaczałoby porażkę. A kto wie, być może nawet śmierć? Albo kalectwo. To byłoby tożsame z klęską, kapitulacją. Poddanie nie leży w naturze ludzi honoru, a dobra walka to walka do końca, nawet jeśli zdobywane ideały są z góry skazane na niezdobycie.

Czas na taktykę. Analiza, przeskok, utrata kilkudziesięciu metrów kosztem spodziewanego zysku. Mrok był coraz czarniejszy. „Jest! Udało się! Rotor! Mam go! Przyczółek nieba zdobyty. Przyczółek mojego nieba. Przylądek nowego kontynentu, który z nastaniem świtu będę eksplodował. Obszary nietknięte ludzką stopą. Teraz

trzeba tylko przeczekać do świtu, utrzymać wysokość, pokonać lek, zmęczenie i sen”. Wysokość rosła z każdą minutą, dając poczucie bezpieczeństwa. W lataniu najgorszy jest lęk przed ziemią.

– Mam lęk wysokości – słyszymy czasem. A przecież paradoksalnie każdy pilot ma lęk wysokości. Tyle że nie sposób przeżywać go tak samo trzy kilometry nad gruntem i dwa tysiące siedemset metrów niżej. Lęk wysokości u pilota jest lękiem przed upadkiem, przed utratą wysokości, przed odebraniem zapasu czasu, który dzieli ludzi za sterami od nieoczekiwanego do oczywistego. Brak lęku wysokości pozwala się łudzić, czasem pozwala przeżyć, świadczy jednak o zbliżającej się śmierci. Kto się nie boi, prędzej czy później zginie.

Windisz, wpatrzony w horyzont, wędrował w powietrzu pośród meandrów wspomnień i nurzał się w myślach. Stary pilot pogodził się z tym, że wkrótce przyjdzie czas na ostatnie lądowanie. Trzy tysiące pięćset. Pełne hamulce, drążek od siebie, kontrola prędkości. Szybowiec tracił tak cenne zdobywane wcześniej metry. Na trzech tysiącach przymknąć hamulce, drążek w neutrum, kontrola prędkości. I znów wznoszenie.

Z tej wysokości jego horyzont jeszcze się nie zakrzywił – pilot jak dziecko zastanawiał się, co jest tam dalej. Ten horyzont, ku któremu Windisz zmierzał, był dla starego lotnika nieznanym. Nie było to miejsce, gdzie zieloność ziemi spotyka błękit nieba, przyjmując kolor morza. To nie

miejsce, w którym od strony otaczającej go nocy widnokrąg jest lazurowy, a od strony dnia – biały, mglisty. Niczym poranek. Ten horyzont był niewiadomą. Mężczyzna u steru pogodził się z tym, że i ten lot będzie musiał dobiec kresu, lecz nie zgadzał się, aby jego ludzkie czyny straciły wszelkie znaczenie i odeszły w niepamięć, dlatego walczył. Człowiek jest istotą większą niż to, co widać na zewnątrz. Dlatego nosi w sobie wielkie pragnienia, takie jak jego rekord. Cóż może być piękniejszego u kresu horyzontu niż otoczenie ukochanym żywiołem zamiast samotnej pustki?

Kolejne kwadransy upływały pilotowi na rozmyślaniach. Tymczasem rotor wyrzucił skorupkę na trzy i pół kilometra. Windisz nie pozwalał wznosić się wyżej. Pełne hamulce, drążek od siebie, kontrola prędkości. Na trzech tysiącach przymknąć hamulce, drążek w neutrum, kontrola prędkości... Hola, hola. Zróbmy to tym razem inaczej. Stary do oporu wcisnął pedał lewą stopą i przesunął go na prawo. Szybowiec przekrzywił dziób w prawo, unosząc go, i położył się na lewe skrzydło. Kadłub wpadł w drgania, prędkościomierz szalał, lecz wysokościomierz był posłuszny. Wskazówka powędrowała w dół.

I znów wznoszenie. Im wyżej, tym piękniejsze było niebo. Błękit stawał się bardziej soczysty, bardziej ciemnoniebieski, zupełnie inny niż skały w dole. One były jak kolczaste krzewy. Niebezpieczne, prawdziwe, nie ukrywały ostrej,

mogącej poranić skórę natury. Te dalekie się nie ruszały, tkwiły w tej samej pozycji, jak szykujące się do skoku dzikie zwierzę. Bliskie nie kryły śmiertelnych zamiarów i wolno posuwały się ku pilotowi. Góry układały się w nocy pod brzuchem szybowca, dolina za szczytem, szczyt za doliną. „Najbliższe wydają się skakać wprost na mnie” – myślał Leon. W ich zagłębieniach było białe, czaiła się tam zima. Ona już panuje, nie odda przyczółka aż do maja, a walczyć będzie jeszcze do czerwca. Szybowiec był jednak niepomny na ostrzeżenia ziemi, bo teraz ziemia go nie dotyczyła. Jego królestwem było niebo, żywiołem zaś – powietrze. Tam było ono tak rozrzedzone, tak czyste, że zdawało się nie istnieć. Widzialność była znakomita. „Widzę świat oddalony o ponad sto kilometrów, jakby na wyciągnięcie ręki”. Tysiące migoczących ogników odbijało się od ciemności, niczym gwiazdy nocą od tafli nieruchomego jeziora, osłoniętego od podmuchów lasem, gdzieś w idealnym, dzikim świecie, nietkniętym ludzką hańbą.

– Jesteście piękne – powiedział do gwiazd zanurzonych w niebie czystym jak woda. – Wyraźne, prawdziwe i nie dotyczy was nic z ziemi. Tak jak mnie. – Staremu zdawało się przez moment, że mógłby zebrać cały Kraków w garść jednym ruchem, niczym drewniane klocki, którymi bawił się jako siedmiolatek, i sypnąć go w miejsce Śląska albo Zakopane przerzucić na Nowy Targ.

– Wskazujecie mi drogę, choć przecież nie jesteście mi drogowskazem. Nie lecę z pocztą, nie pędzę ze skrzydłami pełnymi taśm z nabojami – westchnął pilot – które mają siał zniszczenie, kalectwo, ogień i śmierć w imię pokoju, honoru i prawdy.

– Bo one są bezstronne, uczciwe – odpowiedział sam sobie – i nie kryją tego, że z każdą sekundą mijają świat obojętne na wszystko.

Stary uparcie czekał na świt. Widział go gdzieś daleko, na wschodzie. Między Hawranem a Gerlachem. Na wysokości Łomnicy granat nieba stawał się coraz jaśniejszy. Windisz wiedział, że teraz czekają go trudne chwile. To stary wyga. Srebrnogrzywy lis – jak kiedyś żartem Tadzik nazwał go w briefing roomie. W trakcie tego lotu było dużo czasu, by poddać się krwawym wspomnieniom, lecz nie wolno uśpić czujności. Wkrótce zacznie świtać. A świt w długotrwałym locie jest najbardziej zdradliwy. Człowiek żeglujecie coraz wyżej, prześlizguje się nad graniami, za którymi otwierają się przestrzenie przepaści. Końcem skrzydła prawie muska usypiska kamieni na zboczach, ale to tylko złudzenie. Zaskoczona kozice są nie większe niż myszy, świstak wygląda jak mrówka. Skrzydło kołysze się, drga w górę i w dół. Ślizga się jednak po cząsteczkach powietrza i w swoim szaleńczym pędzie zachowuje równowagę, bo aby ją utrzymać, konieczny jest ruch. Trzy kilometry pięćset. Pełne hamulce, drążek od siebie, kontrola prędkości. Na trzech ty-

siącach przymknąć hamulce, drażek w neutrum, kontrola prędkości. I znów wznoszenie. Czas się rozwija, przeciąga niczym kot po długim śnie.

– Nie mogę wznieść się wyżej niż trzy i pół kilometra.

– Dlaczego? Przecież tego pragniesz najbardziej.

– Wysokość mnie zmęczy, brak tlenu w powietrzu osłabi mnie i pozbawi części tak cennych sił.

– Teraz rozumiem.

– One będą mi potrzebne jutro. Wtedy, gdy zaatakuję. – Dialog ze sobą pozwalał mu nie zasnąć, mimo że powieki miał ciężkie jak ołów.

– Trzeba walczyć.

– Ile jest przyrządów w kabinie?

– Przyrządów... – mruknął pilot. – Licząc od góry i od lewej: jeden to zakrętomierz z chyłomierzem podłużnym, dwa to termometr, trzy to busola, cztery to prędkościomierz, dalej wariometr zwykły i energii całkowitej, ostatni jest wysokościomierz. Łącznie sześć.

– A może siedem?

– No, jeśli liczyć zakrętomierz z chyłomierzem za dwa, to owszem, siedem.

– A krążek Mac Cready’ego?

– To też razy dwa.

– Czyli dziewięć?

– Dziewięć – odpowiedział – cholera, Stary, spać mi się chce. Może zaśpiewam? Czytałem

gdzieś, że nie sposób zasnąć, kiedy się śpiewa.
Mmm. Policzę gałki.

– Licz.

– Zaczep to jeden. Zamknięcie limuzyny to dwa. Jej awaryjny zrzut to trzy. Trymer, hamulce, nadawanie. Razem sześć, plus radio. Tam jest przycisków, zaraz, zaraz... dziewięć kanałów, włącznik i blokada szumów.

– To razem ile?

– Szesnaście – powiedział – oprócz pokrętła poziomu głośności, ale czy ono się liczy?

– A dlaczego ma się nie liczyć?

– Przecież liczyłeś przyciski, a to jest pokrętło.

– Może chodziło ci o części ruchome w kabinnie?

– Miały być gałki.

– A co w takim razie z regulacją oparcia? Albo regulacją pedałów. A okienko limuzyny i wentylator kabiny? Do tego włącznik baterijek zakrętomierza. Zapomniałeś też o zaworze instalacji tlenowej. I włączniku świateł pozycyjnych.

Wszystko do naciśnięcia, przekręcenia, przesunięcia czy pociągnięcia. Królestwo włączników, przełączników i dźwigni, tak ubogie, nieporównywalne z tym, co do zabawy daje człowiekowi maszyna z silnikiem. Tu jednak silnika nie ma, silnikiem są siła umysłu i natura. Oto prawdziwe królestwo pilota szybowcowego. „Och, spać się chce”. Czas mijał. Gwiazdy bledły, niebo się rozjaśniało. Świt już się anonsował jasnością

gdzieś w oddali na wschodzie. Nad Syberią pewnie było już jasno, za Uralem tak samo.

Przed oczyma pilota rysowały się niewyraźne twarze. Bliskich, którzy odeszli. „Niech odpoczywają w spokoju, wkrótce za wielką górą spotkamy się znowu”. Rozmywały się, atakowane erozją czasu, ukochane oblicza, z każdym dniem dalsze. Miały kształt nadmorskich wydm, które wiatr przesuwiał w głąb od lądu, centymetr po centymetrze, metr po metrze, dalej o kilometry w ciągu wieków.

Najwyższe szczyty wylaniały się z jasnej czeluści nocy, oświetlone blaskiem wciąż jeszcze dalekiego świtu. Jesienny świt. Zbliżała się szósta rano. Najgorsza pora na podejmowanie jakichkolwiek decyzji, tymczasem tę jedną trzeba podjąć, należy bezwzględnie zdecydować. Ponad piętnaście godzin za sterami. Na szczęście udało się przeczekać. Piętnaście godzin bez wypróżnienia. Opróżnienie pęcherza w wełnianej rękawicy nie jest łatwe. Bez niej zimno dopada natychmiast.

- Głodnyś?
- Została kanapka.
- A kawa?
- Termos jest pusty.

Słońce było jasne, bardzo jasne. Wracało, a z nim wracał dzień. Świt wydobył świat z bezruchu. Słońce ogrzewało oblicze uporządkowanego świata. Z góry, z trzech i pół kilometra, wszystko wyglądało na zabawkowe. Dziecinna

sprawa: pudełeczka domków, wstążeczki drózek, kępki drzew, poletka, wzgórki przykryte kocym lasów. Grunty starannie obsiane, kolorowe. Wyblakłe łączki, na których białe kropki owieczek były niemal niewidoczne. Doliny jak zaorane pole, Tatry jak skopany na wiosnę ogródek. Świat pocięty na kawałeczki, szachownica pól i łąk, obraz wystawiony na pokaz z każdym elementem pasującym do sąsiedniego. Z wysoka ziemia wydawała się naga i martwa, pozbawiona wszelkiego życia.

– Dobrze, że nie zapomniałeś okularów.

– Racja. Bez nich teraz mogłoby nie być ci tak przyjemnie.

Spojrzenie w dół, rzut oka na wysokościomierz. Zapach wychłodzonej kawy był słaby, ale pomocny. Uśmiech nieśmiały, ostrożny. Cztery kilometry.

– Czyżbym wygrał tę bitwę?

– Prawdziwa bitwa – powiedział – dopiero przed tobą.

Strona autora: www.wydawca.net
facebook.com/wydawnictwo.autorskie.wydawca
google.com/+AleksanderSowabook
twitter.com/aleksandersowa

To jest darmowy fragment.
Więcej informacji znajdziesz na stronie
www.wydawca.net

